

11 Teatr nr 12
1967

CZTERY POMYSŁY

JAN KŁOSSOWICZ

Trudno nie lubić przedstawień Hanuszkiewicz, choćby dlatego, że w jego teatrze nigdy nie grozi nuda. Każde z jego przedstawień ma w sobie jakieś pomysły, jakieś chwyt, zmuszające do aktywnego w nim uczestniczenia. Aktywny stosunek inscenizatora do wystawianego utworu udziela się tu zawsze odbiorcy, sprawia, że spektakle Teatru Powszechnego, reżyserowane przezeń z reguły przez samego Hanuszkiewicza, bywają bardzo dobre, bywają złe, albo nierówne, ale nigdy nie są nijakie.

Tak samo oczywiście jest i z przedstawieniem *Ich czworo*, choć nie jest to na pewno dobre przedstawienie. Cała inscenizacja oparta została na kilku „pomysłach”. Pierwszy z nich, to przeniesienie akcji w lata trzydzieste, a więc w epokę kostiumologiczną bardzo nam dziś bliską. Drugi pomysł, to stylizacja, stwarzająca dystans do naturalistycznie potraktowanej przez Zapolską materii tej komedii. Ten pomysł, a raczej „chwyt”, polega na tym, że akcja sceniczna co pewien czas nagle się zatrzymuje, a biorące w niej udział osoby zamierają w dramatycznych pozach, tworząc pełen napięcia żywy obraz; jednocześnie rozlega się melodia i za chwilę akcja toczy się dalej. Jest to rzeczywiście bardzo ładna i dowcipna stylizacja — po trochu pastisz niemieckiego filmu. Gdyby całe przedstawienie zostało w niej utrzymane, byłoby bardzo udane.

Niestety, trzeci pomysł polega na tym, że stanowi zaprzeczenie poprzedniego. Dość przecież łagodny naturalizm Zapolskiej został w całym przedstawieniu maksymalnie podkreślony i zbrutalizowany. To, co Zapolska za ledwie zaznaczała, tu zostało pokazane bez ogródek. Dlatego też można tu oglądać symbolicznie, poprzez rytmiczne kiwanie nogą w tzw. niedowuznaczonej pozie, odgrywany akt seksualny. Można zobaczyć starszą kobietę w równie niedowuznaczonej sytuacji, w łóżku z młodym człowiekiem. Można też zobaczyć, jak jedna pani wyśiska pewnemu panu wągry z pleców i wyciąga je sobie zza paznokci. Ostatni wreszcie chyba pomysł, który wyrażnie rzuca się w oczy, to monolog małej bohaterki *Ich czworga* odczytującej z kartki duży fragment kwestii Mężczyzny ze *Świadków Różewicza*, a mianowicie relację o kotku, którego chłopczyk najpierw wrzucił do wody, a następnie rozdeptał nóżką i zasypał piaseczkiem. Potem akcja toczy się dalej.

Wszystkie te pomysły, lepsze czy gorsze, tutaj okazują się niepotrzebne. Po prostu dlatego, że Zapolska napisała bardzo dobrą, świetnie skonstruowaną komedię obyczajową, taką jakiej nie umie napisać żaden ze współczesnych polskich dramatopisarzy. Napisała sztukę, która nie jest ani zbyt głęboka myślowo, ani zbyt pomysłowa teatralnie, ale za to wytrzymuje zawsze próbę sceny. Nie doszukamy się w niej wielkich odkryć społecznych czy psychologicznych, nie znajdziemy pretekstu do szczególnie frapującej inscenizacji. Jest ona przecież typowym aktorskim samograjem, należy do rodziny dramatów, które stanowią żelazny repertuar w większości

krajów europejskich. Nie należy się też jej, w żadnym wypadku, wstydzić i nie trzeba w jakiś specjalny sposób dla dzisiejszego teatru i dzisiejszej widowni przyszykować. To prawda, że mieszczańskie dramaty z końca XIX i początku XX wieku nie jest na pewno najbardziej godnym dziś polecenia stylem teatralnym, ale jeśli jest to dramat dobrze w ramach swojej poetyki napisany, można go z czystym sumieniem na współczesnej scenie pokazać. A *Ich czworo*, to sztuka naprawdę dobrze skonstruowana i przeznacząca ją pomysły wyglądają jak protezy przystawiane zdrowemu aktorowi, który o własnych siłach całkiem dobrze może się poruszać po scenie.

Ich czworo jest sztuką zjadliwą i bezkompromisową, nie darmo nosi w podtytule nazwę *Tragedii ludzi głupich*. Jest bezlitosną kpiną z mieszczańskiej mentalności, moralności i niemoralności. Jest, jak u Kochanowskiego, złośliwą przypowieścią o filozofie, który jest bardzo uczony, ale „nie wie, że ma kurwę w domu”. Łatwo zgodzić się z intencjami Hanuszkiewicza, który chciał pokazać aktualność tej opowieści o głupocie i o potęgę drobniomieszczańskiej mentalności, ale do tego nie trzeba było aż tak skomplikowanych

Teatr Powszechny w Warszawie: „Ich czworo” Zapolskiej. Gustaw Lutkiewicz (Mąż), Małgorzata Lorentowicz (Żona) oraz — w głębi — Janusz Bukowski (Kochanek) i Elżbieta Wieczorkowska (Wdowa). Inscenizacja Adam Hanuszkiewicz, scenografia: Franciszek Starowieyski





Gustaw Lutkiewicz (Mąż), *** (Dziecko), Małgorzata Lorentowicz (Żona); zdjęcie na dole: Elżbieta Wieczorkowska (Wdowa) i Janusz Bukowski (Kochanek)

zabiegów, które rozciągnęły akcję i zburzyły precyzyjną konstrukcję jednej z lepszych polskich komedii.

Bo przecież aktorzy radzą sobie z nią bardzo dobrze. Małgorzata Lorentowicz, przezbawnie ubrana i rozebrana przez Starowieyskiego, nie tylko od początku do końca prowadzi doskonale rolę arcyidiotki, której siła leży w absolutnej głupocie i zupełnej „nieprzemakalności” na jakiejkolwiek sprawy leżące poza zasięgiem jej kurzego doświadczenia, ale potrafiła też tę postać uwspółcześnić. Nietrudno zobaczyć w niej dzisiejszą córeczkę właścicielki pralni chemicznej, czy też sklepikarki albo badylarza. To naprawdę duży popis aktorskiego temperamentu i dowód umiejętności obserwacji psychologicznej. Mniej efektownie gra równie głupiego bufona Janusz Bukowski, ale i on okazał się dobrym aktorem charakterystycznym. Trzeba powiedzieć, że Hanuszkiewicz umiał dobrać obsadę i umiał dać się wygrać aktorom. Dotyczy to również takich ról jak Szwaczka Marii Seroczyńskiej, czy nawet Sługa Emilii Krakowskiej.

Trudne zadanie ma Gustaw Lutkiewicz w roli niezaradnego życiowo intelektualisty. Bohater *Ich czworo* jest niestety tylko cieniem cudownego pantoflarza Felicjana Dulskiego, i mimo że Zapolska wyposażyla go w dyplom doktora filozofii, nie umiała włożyć mu w usta żadnej naprawdę znaczącej kwestii. Zdecydowanie niewdzięczne już zadanie miała Elżbieta Wieczorkowska. Scena zalotów podstarzałej gospodyni, rozegrana w łóżku i w tzw. dezabilu, wymagała wielkiego samozaparcia i taktu aktorskiego, żeby nie stać się nie tylko niesmaczną, ale po prostu nieudaną i brzydką. W tej właśnie scenie najmocniej uwydatniło się to, że reżyser za mało ufał Zapolskiej, że nie wierzył, aby jej sztuka mogła się „sprawdzić” na scenie.

Powstało z tego przedstawienie, stanowiące ciekawy przyczynek do roli i wzajemnych stosunków dramaturga i inscenizatora. Okazuje się, że nie zawsze ten drugi ma rację.

JAN KŁOSSOWICZ

